



KROMKA CHLEBA.



Od miesiący był już bez roboty. Zawsze miał coś do gadania w fabryce, krytykował, podburzał innych, każde wynagrodzenie za pracę zdawało mu się za małe, no i skorzystano z pierwszej okazji, by go usunąć. Nie wiele sobie z tego robił, bezrobocie brał, obijał się, szukał pracy i myślał sobie: o wa, nie tu, to tam znajdę, chleba na świecie dość.

Ale właśnie nie było go dosyć. Zapomogę mu cofnięto, powoli wysprzedał się ze wszystkiego, by żyć, ubranie zaczęło się rozłazić, a buty wymówiły służbę. Wstyd go było, tam gdzie go znano od berbecia małego, dziurawymi łokciami świecić, dumę swoją miał, myślał zresztą, że tam, gdzie go nie znają łatwiej znajdzie pracę. Zawiodł się.

Spodziewał się, że z wiosną do robót polnych się gdzie najmie, że przecież robotę jakąś znajdzie bodaj za dach i chleba kawałek, nie obliczył się z tem, że wszędzie jest dużo rąk czekających na pracę, że nikt nie przyjmie nędzarza, obcego, któremu głód z oczu patrzy a wychudłe na szkielet ciało nie zapowiada siły, zresztą, wszędzie mają swoich ludzi i tym dają pierwszeństwo.

Wiosna była, można już było nocować w łęgach nad rzeką i w lesie, czasem w jakiej opuszczonej szopie, ale czem żyć?

Młode drzewiny śmiały się kwieciami a ziemia zielenią, ale szczaw nie dawał mocy, ani ta cudownie zimna woda źródłana.

Wyciągnąć, jak tylu innych rę-

kę do ludzi, o litość prosić trudno, nic mu innego nie pozostało, prze-mógł wstyd, ale młody był a ludzie niechętnie dają młodemu, chociażby się na nogach ślaniał. Przy tem, nie umiał prosić. Głos mu zamierał w krtani i nie potrafił wzbudzić ludzkiego miłosierdzia, a chuda, łachmanami pokryta postać, zarośnięta dawno nieogolona twarz, dziki wyraz głodnych oczu strach raczej budziły a nie litość.

I drzwi chat zamykały się przed nim lekliwie, czasem ktoś groz rzucił albo strawę jaką, jak się rzuca złemu psu, by się po pozbyć.

„Co ta można wiedzieć, co w takim siedzi, jeszczeby przez zems-tę podpalił albo co? Na bandytę patrzy”.

Były dnie, że chodził brzegiem rzeki, jak błędny i myślał o śmierci, nie było dla niego miejsca na tym pięknym, rozkwitającym świecie, przestał się już spodziewać, że pracę znajdzie a zresztą teraz, skądby już do niej siły wziął?

I wabiła go rzeka srebrzysta i wabiły gałęzie dębów zapraszająco opuszczone, jakgdyby czekały tego sznurka, co mu przytrzymał spodnie, ale gdzieś, na dnie serca chybał wtedy lęk śmierci większy jeszcze od tęsknoty za nią i mocarne pragnienie życia, młody był, czuł że nie zdoła...

Hej, gdzie to te czasy, gdy matka gładziła go po kostropatej czuprynie i poddawała wonny kawał placka:

— Jedz synku, jedz a rośnij...